

Temat tygodnia

- 12 Mariusz Janicki
Wiesław Władyka
PiS, faza imperialna
- 15 Malwina Dziedzic
Opozycja szuka jedności

Polityka

- 18 Piotr Pytlakowski
Suweren na ulicach
- 20 Ewa Siedlecka
Władza bierze się za społeczeństwo obywatelskie

Rozmowa POLITYKI

- 23 Prof. **Wojciech Sadurski**
o tym, czy demokracja zdoła
odbronić się przed populistami

Społeczeństwo

- 26 Joanna Cieśla
Wciąż młodzi, choć już starzy
- 29 Violetta Krasnowska
Jak się nęka nieposłusznych obywateli
- 32 Z prof. **Jackiem Leociakiem**
o stereotypach wokół likwidacji
warszawskiego getta
- 35 Aleksandra Żelazińska
Miejskie plaże, czyli tani urlop
- 38 Marta Mazuś
Prywatna pomoc społeczna – biedny pomaga biednemu

Rynek

- 40 Adam Grzeszak
Ubezpieczenia komunikacyjne – kto zarabia, kto traci
- 43 Rafał Woś
Państwo dobrobytu, ale jakie?

Świat

- 46 Artur Domosławski
Jak się rozliczyć z dyktaturą
- 49 Marek Ostrowski USA
Nepotyzm po amerykańsku
- 52 Adam Szostkiewicz TYBET
Reinkarnacja i polityka

15



Opozycja pod ciśnieniem

26



Dłuższa młodość, dłuższa starość

40



Wypadki coraz kosztowniejsze

60



Co z tą pogodą?

Historia

- 54 Łukasz Wójcik
Zwycięska ucieczka spod Dunkierki
- 57 Piotr Szlanta
Wojna burska w oczach Polaków

Nauka

- 60 Andrzej Hołdys
Meteorolog – zawód wysokiego ryzyka
- 63 Agnieszka Krzemińska
Krótką historią ptactwa domowego

Kultura

- 70 Piotr Sarzyński
Słowacki milioner buduje parki kultury
- 74 Z dr. hab. **Bartłojem Dobroczyńskim** o słynnym
Lecie Miłości 1967 r.
- 77 **Ian Rankin** opowiada, jak został pisarzem
- 82 Joanna Brych
Polski taniec współczesny – wzloty i bolesne upadki
- 85 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

Ludzie i style

- 86 Michał R. Wiśniewski
Poppy zachwyca internautów
- 90 Agnieszka Rodowicz
Bałtycki surfing: zimno, ale pięknie

Na własne oczy

- 100 Tekst i fotografie
Agnieszka Hreczuk
Łużyce zmieniają odkrywkę w jeziora

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia • 66 Afisz
- 94 Passent • 95 Stomma
- 96 Hartman • 97 Tym
- 98 Do i od redakcji
- 99 Fusy, plusy i minusy
- 106 Polityka i obyczaje



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Premier
weszła ciałem

Ogólnowiatowa histeria związana z uchwaloną przez PiS, a następnie zawetowaną przez prezydenta Dudę ustawą o Sądzie Najwyższym, w ostatnich dniach sięgnęła zenitu. Zanim Andrzej Duda ogłosił weto, przeciwko ustawie zdążyła się wypowiedzieć Komisja Europejska, swoje zaniepokojenie wyraziły Stany Zjednoczone, a w kraju doszło do serii gorszących incydentów. Np. posłowie PiS Stanisławowi Pięcie przez kilkadziesiąt minut uniemożliwiono wyjście ze znajdującego się w sąsiedztwie Sejmu sklepu monopolowego, w którym poseł ten dokonywał zakupów. Nabyte produkty Pięta prawdopodobnie zamierzał z okazji uchwalenia ustawy spożyć z kolegami, niestety, rozwydrzony tłum przebieg zaplanowanej przez niego uroczystości zakłócił, co wywołało zrozumiałe oburzenie posła, bo obrażało bliskie mu, tradycyjne polskie wartości. Na ten oraz inne ataki premier Szydło odpowiedziała bardzo zdecydowanie w swoim telewizyjnym orędziu. „Nie damy się zastraszyć polskim i zagranicznym obrońcom interesów elit” ostrzegła. Z tym że niestety okazało się, że nie wiadomo, czy można ufać temu, co pani premier powiedziała, bo przez specjalistów od mowy ciała jej orędzie zostało ocenione nisko. Specjaliści nie mają pewności, czy Beata Szydło zdołała w orędziu powiedzieć to, o co jej chodziło, a jak nawet zdołała, to czy



naprawdę w to wszystko wierzy. Orędzie, powiadają, raziło sztucznością gestów, a arsenał zaprezentowanych środków wyrazu był bardzo ubogi, co wprawdzie doskonale korespondowało z ubóstwem przekazywanych przez premier Szydło treści, ale myliło widza. Gesty Beaty Szydło, chociaż nieźle wyuczone, były niedopasowane do słów, a co gorsza, Szydło wykonywała je nie w tych momentach, co trzeba, co rodzi podejrzenie, że swoim ciałem komunikowała co innego, niż jej się zdawało, nie mówiąc o tym, że komunikowała co innego niż głosem.

Najbardziej wnikliwi słuchacze nie wykluczają, że Beata Szydło robiła to specjalnie, żeby zaspokoić potrzeby różnych odbiorców. Ich zdaniem głosem premier Szydło mogła przemawiać do Polek i Polaków, zaś ciałem do Jarosława Kaczyńskiego. Lub na odwrót. Tak czy inaczej spory o to, czy Beata Szydło wiedziała, co ciałem i głosem chciała powiedzieć w swoim orędziu i czy rzeczywiście to powiedziała, będą trwały długo, a opinie w tej sprawie podzielą Polaków. Jednak uważam, że bez względu na to, jaka jest prawda na ten temat, orędzie to dowód bolesnego podziału wewnątrz zwartej dotąd osoby pani premier. Wiele wskazuje na to, że po wecie Andrzeja Dudy podział ten jeszcze się pogłębi.

It's time for
the ride
of your life.

TISSOT T-RACE CYCLING

TOUR DE POLOGNE

SPECIAL EDITION 2017.

SPORTOWY CHARAKTER ZEGARKA

PODKREŚLAJĄ DETALE W BARWACH WYŚCIGU.

OFICJALNE LOGO TOUR DE POLOGNE

WYGRAWIEROWANE NA DEKLU KOPERTY

ORAZ ELEMENTY INSPIROWANE WYGLĄDEM

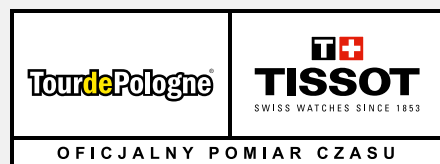
POSZCZEGÓLNYCH CZĘŚCI ROWERU.

ZEGAREK POSIADA ODPORNE

NA ZARYSOWANIA SZKŁO SZAFIROWE

ORAZ WODOSZCZELNĄ

DO 100 METRÓW KOPERTĘ.



T + TISSOT THIS IS YOUR TIME

KOMENTARZ

Opór powinien trwać



Ewa Siedlecka

Prezzydent Andrzej Duda zaskoczył wszystkich: i protestujących, i macierzystą partię, i opozycję. W poniedziałek, jeszcze przed zapowiedzianymi konsultacjami z Pierwszą Prezes Sądu Najwyższego i szefem Krajowej Rady Sądownictwa, zawetował dwie z trzech ustaw „sądowych”: o Sądzie Najwyższym i o KRS. Pierwsza miała prowadzić do wymiany sędziów i reorganizacji Sądu Najwyższego. Druga zapewniała partii rządzącej władzę nad nominacjami sędziów. Nie zawetował trzeciej ustawy, dzięki której minister sprawiedliwości jednoosobowo obsadzi na nowo kierownictwa sądów wszystkich szczebli, dzięki czemu zyska kontrolę nad tym, którzy sędziowie będą sędzić sprawy z jakichkolwiek powodów ważne dla PiS. Weto jest niewątpliwie zaskoczeniem, co widać było po minach polityków PiS wezwanych do siedziby partii natychmiast po jego ogłoszeniu przez prezydenta. Byli wyraźnie zdezorientowani.

Skąd te weta? Zapewne złożyło się na to kilka rzeczy. Wielotysięczne protesty w całej Polsce pokazały, że przekroczona została granica arogancji władzy i destrukcji państwa. Prezydent powołał się też na rozmowę ze swoją doradczynią Zofią Romaszewską, wielką postacią podziemnej peerelowskiej opozycji, która wspomagała go w kampanii prezydenckiej. Zacytował jej słowa: „Panie Prezydencie, ja żyłam w państwie, w którym Prokurator Generalny miał nieprawdopodobnie silną pozycję i w zasadzie mógł wszystko, i nie chciałam z powrotem do takiego państwa wracać”. W ustach zwolenniczki PiS to słowa najmocniejsze z możliwych: porównała Polskę budowaną przez PiS do PRL.

Ale ważnym elementem decyzji prezydenta Dudy może być publiczne upokorze-

nie, jakie zafundował mu PiS. Prezydent nie godził się, by sędziów, którzy mają ocałeć z czystki w Sądzie Najwyższym, wskazywał minister sprawiedliwości-prokurator generalny Zbigniew Ziobro. Chciał sam być tym wskazującym. I PiS wprowadził taką poprawkę. Tyle że sędziów nadal ma wskazywać prokurator Ziobro, a prezydent jedynie ich powoływać. Przyjęcie tej poprawki było demonstracyjnym pokazaniem prezydentowi jego miejsca w szeregu. Weto stało się więc kwestią honoru. Wreszcie, nie można wykluczyć, że Andrzej Duda po prostu poważnie potraktował swoją rolę strażnika konstytucji.

Choć przeczy temu fakt, że zdecydował się podpisać trzecią ustawę: o ustroju sądów powszechnych, która podważa ich niezależność i godzi w niezawisłość sędziowską. Zmierzają do wytworzenia w sądach sytuacji, którą mamy dziś w prokuraturze: o wszelkich sprawach kadrowych decyduje minister-prokurator generalny i jego ludzie. Będzie więc jak w prokuraturze: odbieranie spraw sędziom, którzy chcieliby je rozstrzygnąć nie po myśli władzy. Ustawa przewiduje odpowiednie do tego narzędzia.

Dlatego protesty obywatelskie nie straciły sensu i opór powinien trwać. Przeciwnie: skoro okazało się, że mają wpływ na władzę – trzeba ich używać w obronie resztek demokratycznego państwa prawa. Tym bardziej że PiS zapewne ponownie uchwali zawetowane przez prezydenta ustawy o SN i KRS, tyle że w nieco zmodyfikowanej wersji. Np. zrezygnuje z przepisu o wskazywaniu przez ministra-prokuratora Ziobrę, który sędzia może zostać w Sądzie Najwyższym. I tym razem uchwali ustawy porządnie, bez mylenia numerów przepisów i bez pomyłki w liczbie kandydatów na I prezesa SN. Mogą one wrócić na biurko prezydenta szybciej, niż się wydaje.

Teraz żądania należy kierować pod adresem parlamentu. By kolejną nowelizacją przywrócić rolę samorządowi sędziowskiemu przy mianowaniu sędziów i przy wyborze prezesa sądu. By zachował dotychczasową Krajową Radę Sądownictwa z jej uprawnieniami. I nie zmieniał ustawy o Sądzie Najwyższym tak, by móc się pozbycь orzekających tam dziś sędziów. Demonstrować można pod biurami poselskimi PiS i pod sądami,

żeby okazać sędziom poparcie. 9 sierpnia Sąd Najwyższy wyda wyrok w sprawie prawomocności ułaskawienia Mariusza Kamińskiego. Mimo że jest związany odpowiedzią, jakiej na pytanie prawne udzielił mu skład siedmioosobowy TK (że ułaskawienie nie wywołało skutków prawnych), PiS będzie naciskał. 12 września SN zdecyduje zaś w sprawie prawomocności wyboru Julii Przyłębskiej na prezesa TK. Jeszcze w sierpniu może pokazać się nowy projekt ustawy o SN.

Największym sukcesem obywateli nie jest to, że prezydent zawetował dwie z trzech ustaw po ich protestach, ale to, że się obudziło i spontanicznie wyszli na ulice w proteście (czytaj s. 18). Weto prezydenta wzmocni w nich siłę, bo uwierzą, że mogą być skutecznymi. Przelamany został podział pokoleniowy, tak jak w 1980 r. zasypano podział na robotników i inteligencję. O wspólnym działaniu zaczęła chyba wreszcie na serio mówić opozycja (czytaj s. 15). Możliwe, że PiS, dokonując destrukcji demokratycznego państwa prawa i mobilizując młodych, uruchomił proces autodestrukcji. PiS boi się suwerena, szczególnie młodych. Skompromitował się, nazywając protestujących „upiorami bolszewickimi, ubeckimi wdowami, oczadzonymi i pożytecznymi idiotami” (senator Waldemar Bonkowski) czy „spacerowiczami i turystami” (szef MSWiA Mariusz Błaszczak).

Nie pierwszy raz PiS atakuje demonstrantów, ale po raz pierwszy dotknęło to ludzi młodych, którzy nie wpisywali się dotąd w spór PiS kontra antypis. Obrażając, uczynił ich swoimi przeciwnikami. I niewykluczone, że zachęcił do czynnego włączenia się w życie publiczne, czego do tej pory unikali, kontestując „system”.

Młodzi mają teraz swoją rewolucję. Taką, jak ich rodzice i dziadkowie w latach 80. Poczuli siłę i rację. To może sprawić, że zaczną brać czynny udział w życiu publicznym. Może uruchomić się mechanizm eskalacji: PiS, urażony po porażce, zaostriże kurs, by pokazać, że się „nie cofnie”. Obywatele raz obudzeni nie dadzą się zagnać do domów. Tym bardziej że we wrześniu wchodzi w życie reforma oświaty. A potem reforma szkolnictwa wyższego ograniczająca autonomię wyższych uczelni. Ta lekcja obywatelskości powinna procentować.



PiS zabiera, PiS nie oddaje

Nawet w państwie PiS sytuacja, gdy ważna instytucja zabiera swym byłym pracownikom prywatne rzeczy, a potem nie chce ich oddać, mocno odbiega od normy. Szczególnie gdy tą instytucją jest wojskowy kontrwywiad.

Lista jest całkiem długa, sami zainteresowani pamiętają, że sądowe pozwy obejmują kilkanaście punktów. Są telefony komórkowe, laptopy, tablety, pistolet Glock, okulary, ale też złote spinki do koszuli, obrączka z białego złota, a nawet pierścionek zaręczynowy i klucze do mieszkania. Sprawa to podręcznikowy przykład zastosowania przez ludzi PiS strategii: „Nie mamy pańskiego płaszczka i co pan nam zrobi?”.

Zwrot na raty. Rzeczy należą do dwójki oficerów Służby Kontrwywiadu Wojskowego – mjr Magdaleny E. oraz płk. Krzysztofa Duszy. Przed warszawskim sądem rejonowym właśnie ruszył proces z powództwa mjr E. o zwrot tych przedmiotów lub ich pieniężnego ekwiwalentu. Wartość rzeczy, których zwrotu domagają się oficerowie, sięga 10 tys. zł.

Oboje znaleźli się wśród wyrzuconych ze służby funkcjonariuszy SKW po wyborach w 2015 r., gdy kierownicze stanowiska zajęli w niej ludzie Antoniego Macierewicza, z obecnym szefem tej służby Piotrem Bączkiem na czele. Ich losy opisywała POLITYKA (14). Wspomnijmy tylko, że zwolnienia odbywały się w okolicznościach budzących poważne wątpliwości. Płk Dusza jako szef Centrum Ekspertyz Kontrwywiadu NATO został wydalony ze służby po bezprecedensowym nocnym najeździe ludzi Macierewicza na CEK. Podobnie mjr E. Przeciwno obojgu wszczęto postępowanie dyscyplinarne, które bardziej wyglądało na zemstę i próbę zastraszenia. W obu przypadkach sprawy zakończyły się degradacjami – mjr E. do stopnia kapitana, a płk. Duszy – co było wydarzeniem bez precedensu – do stopnia szeregowca. Oboje wywalczyli przed sądami uchylene tych decyzji (na razie nieprawomocnie, SKW odwołała się od wyroków).

Oboje wielokrotnie – pisemnie oraz ustnie przez swego pełnomocnika – zwracali się do SKW o wydanie rzeczy, które podczas nalotu na CEK zostały zabrane z zajmowanych przez nich pokoi. Częściowo skutecznie, bo niektóre służba zwróciła na początku 2016 r. Ale potem, mimo wielu próśb i ponagnień, zapadła cisza.

Generał wygrywa. Gen. **Piotr Pytel**, mianowany jeszcze za rządów PO, a odwołany przez Antoniego Macierewicza szef SKW, też nie mógł się doczekać zwrotu niektórych



© KRYSZTOF MAJFORUM

rzeczy prywatnych (tablet i kurtka zaginęły w niewyjaśnionych okolicznościach) zajętych podczas wejścia do CEK. Złożył pozew do sądu, ale – jak mówi POLITYCE – bardziej niż na odzyskaniu własności jemu i jego byłym podwładnym zależało na tym, by sprawiedliwości stało się zadość. A najbardziej zabolalo go to, jak potraktowano rzeczy, które miały dla niego ważne znaczenie symboliczne, czyli generalski mundur i szablę, którą dostał od prezydenta Bronisława Komorowskiego, gdy odbierał nominację na generała. – *Elegancka skrzynia, w której była zamknięta szabla, miała wyrwane okucia. A wystarczyło użyć trochę inteligencji na poziomie szympansa, by ją otworzyć, a nie wyłamać okucia obcęgami* – opowiada gen. Pytel. – *Mój mundur, na którym naszyte jest w dwóch miejscach polskie godło, wrzucony był na dno kartonowego pudła i przygnieciony pięciokilogramowymi krążkami do sztangielek.*

Generał i tak miał więcej szczęścia niż dwójka jego podwładnych, bo sprawa szybciej trafiła na wokandę. W marcu tego roku sąd orzekł niecałe tysiąc złotych za odebrane rzeczy plus drugie tyle jako zwrot kosztów sądowych. Co ciekawe, SKW konsekwentnie twierdziła, że żadnego czytelnika generałowi nie zabrano. Sąd jednak przyznał rację Pytłowi, któremu m.in. dzięki zeznaniom świadków udało się udowodnić, że jednak było inaczej. SKW odwołała się od wyroku, sprawa czeka na wyznaczenie terminu w drugiej instancji.

Gen. Pytel zarzuca szefostwu SKW, że wchodząc do pomieszczeń CEK bez udziału ich użytkowników i zajmując je wraz z rzeczami, naruszyła prawo. Jak mówi, SKW chcąc „na szybko”, ale legalnie wejść do pomieszczeń CEK w sytuacji, gdy podejrzewała, że przechowywane są tam bezprawnie tajne dokumenty, nie mogła tego zrobić sama ani poprzez Żandarmerię Wojskową, ale powinna była wezwać Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego (sama SKW nie ma uprawnień procesowych, czyli umożliwiających dokonanie przeszukania i zabezpieczenia przedmiotów ewentualnie ujawnionych

podczas przeszukania). W dodatku powinna mieć wiarygodną informację, że w CEK dochodzi do złamania ustawy o ochronie informacji niejawnych. Jeśli nie miała, powinna zawiadomić prokuraturę, która dopiero wyznacza instytucję do wejścia i dokonania czynności przeszukania i zabezpieczenia rzeczy. Powinien być do tego wezwany użytkownik pomieszczeń. – *Nie tylko, że tego nie zrobili, to jeszcze np. bezprawnie poddali badaniu zawartość mojego prywatnego komputera. Ludzie Macierewicza działali zupełnie pozaustawowo, na dziko. Jakby strażak, który ma prawo wejść do mieszkania podczas pożaru, wszedł do domu, gdy się nie paliło, i wyniósł pół jego zawartości* – twierdzi oficer.

Kownacki pokazuje ryngraf. 3 lipca, czyli w dniu rozpoczęcia procesu z powództwa mjr E. o wydanie rzeczy lub wypłatę odszkodowania, SKW poinformowała E. i Duszę, że mogą odebrać swoje rzeczy w siedzibie służby. Ale jak szybko się okazało, nie wszystkie. W przypadku major brakuje obrączki i pierścionka oraz laptopa, który SKW zatrzymała z niejasnych powodów. W przypadku pułkownika: spinek, okularów, pistoletu, kluczy oraz... pamiątkowej odznaki, którą dostał od rosyjskiej Federalnej Służby Bezpieczeństwa. Jej los powinien znać wiceminister obrony Bartosz Kownacki, który tuż po najeździe na CEK prezentował ją publicznie jako jeden z rzekomych dowodów na nielegalną współpracę SKW z FSB za rządów PO. Czy ministrowi, który zasłynął z wyprawy do Rosji w 2012 r. i przychylnych jej wypowiedzi, uda się przypomnieć, co zrobił z odznaką, nie ma większego znaczenia.

Tak długie przetrzymywanie prywatnych rzeczy i to bez decyzji prokuratury lub sądu o ich zabezpieczeniu jest, zdaniem prawników, bezprawne. SKW nie chce odpowiedzieć, dlaczego tak postępuje, twierdząc, że nie musi, bo nie są to informacje publiczne. Zapewnia w przesłanej do POLITYKI odpowiedzi, że wszystkie rzeczy osobiste oficerów są sukcesywnie zwracane, o ile na przeszkodzie nie stoją „względy procesowe” lub brak możliwości identyfikacji właściciela. Choć od wtargnięcia do CEK minęło już z górą półtora roku, SKW nadal twierdzi, że „konieczna jest dokładna i wnikliwa weryfikacja rzeczy zabezpieczonych w CEK NATO pod kątem ustalenia prawa własności do poszczególnych przedmiotów”.

– *Jestem zaskoczony i zawiedziony taką postawą instytucji państwowej, która powinna dbać o zaufanie nie tylko wśród swoich pracowników, ale i w całym społeczeństwie* – komentuje mecenas Antoni Kania-Sieniawski, pełnomocnik dwójki oficerów. – *Tym bardziej że te przedmioty zostały zatrzymane bez podstawy prawnej. Bardziej zdecydowanie ocenia działanie kierownictwa SKW gen. Pytel: – To była kradzież dokonana przez instytucję. Nie ma innego prawnego określenia na to, co się stało.*

GRZEGORZ RZECZKOWSKI



Bój Polaków Europejczyków

PiS demontuje bezpieczniki chroniące nasze państwo prawa. Ma plany wobec mediów prywatnych i organizacji pozarządowych, niezakończone zostały zmiany w sądownictwie. Na razie PiS potknął się o protesty, w tym ludzi młodych, oraz o weto prezydenta Dudy.

Trwająca przez ostatnie miesiące destrukcja państwa prawa nasilała konflikt rządu z Komisją Europejską i Radą Europy. W najbliższych miesiącach stosunek do integracji będzie coraz mocniej dzielił Polaków. Jedni przypomną sobie, dlaczego Polska jest w Unii i za jakimi wartościami się opowiada. Inni ulegną pisowskiej nacjonalistycznej retoryce. Pytanie, jak bardzo uda się PiS osłabić proeuropejskie nastroje Polaków?

Słyszeliśmy od polityków PiS, że wprowadzane zmiany w sądownictwie nie różnią się od istniejących w innych krajach. Nie wiadomo więc, dlaczego KE ingeruje w nasze sprawy. Suwerenność jest wtedy, mówią, kiedy każdy decyduje, co robi u siebie i jakie zmiany wprowadza. Polska jest dumnym krajem, nie pozwoli na upokarzanie i naruszanie swojej niezależności. A tak naprawdę, argumentują, to stara Unia odwraca się od Polski, chcąc ją wyrzucić na margines, ze zwykłej niechęci do rządu w Polsce. PiS chce tylko dobrej zmiany w sądownictwie i dba o bezpieczeństwo Polaków – przekonują.

Tymczasem Komisja Europejska od dłuższego czasu ostrzegała polski rząd przed podejmowaniem działań niszczących państwo prawa. Teraz, po ataku na Sąd Najwyższy, wchodzimy w kolejną fazę konfliktu z instytucjami unijnymi. Weto prezydenta konflikt ten tylko rozciągnie w czasie. Mimo pojednawczych gestów Andrzeja Dudy wobec krytyków zmian w sądownictwie rząd będzie nadal budował w kraju poparcie dla swoich działań. Będzie sięgał do haseł o zagrożonej suwerenności, argumentując, że Polska to kraj „sielski i anielski”, a jacyś biurokraci w Brukseli chcą to zniszczyć. Do tego chcą nas zmusić do przyjęcia imigrantów, którzy są potencjalnymi terrorystami. I nie ma znaczenia, że to wszystko nieprawda. Ważne, że trafia na podatny grunt tej części społeczeństwa, która obawia się obcych. PiS będzie nadal argumentował, że Unia nas szantażuje, grożąc zmianami w przyszłym budżecie unijnym, co dotknie wielu korzystających z jego dobrodziejstw. Osobny wątek, ciągle wykorzystywany przez Jarosława Kaczyńskiego, to zdrada opozycji i dziennikarzy „donoszących” na Polskę za granicę. Tak jakby nikt nie wiedział, dzięki mediom, co PiS wyrabia z naszą demokracją. To wątek wdzięczny, mający długą tradycję i silne osadzenie w czasach komunistycznych. Jak ten język wpływa na poglądy Polaków?

Obecnie nasze członkostwo w Unii Europejskiej popiera 88 proc. badanych. Co więcej, ostatnio nastąpił wzrost poparcia dla integracji (dane CBOS, 2017 r.). Koniec kryzysu ekonomicznego w Europie i obserwacja możliwych konsekwencji brexitu spowodowały wzrost akceptacji Unii w wielu krajach. Co więcej, w Polsce wzrosło też poparcie dla zacieśnienia i pogłębienia integracji – wzrost z 39 proc. w 2015 r. do 48 proc. obecnie. Istotna część elektoratu PiS (41 proc.) również akceptuje dalsze pogłębienie integracji. Rządy partii Kaczyńskiego swoją retoryką nie osłabiły dotąd poparcia dla integracji – a wywołały nawet w opinii publicznej efekt odwrotny. Podobnie wstępne działania Komisji Europejskiej i przyjęcie przez nią w ubiegłym roku krytycznej opinii o stanie praworządności w Polsce nie osłabiło proeuropejskiego

nastawienia Polaków. Prawdopodobnie niewiele osób wiedziało o stanowisku Komisji czy o debatach o Polsce w Parlamencie Europejskim. Nie odbiły się w opinii publicznej dużym echem.

Kolejne, bardziej zdecydowane kroki Komisji zostaną niewątpliwie wykorzystane przez PiS do budowania dystansu wobec instytucji unijnych. Dotychczas Komisja i Parlament Europejski budziły dużo większe zaufanie Polaków niż własne rządy. Wstępując do UE, Polacy traktowali nasze członkostwo jak ważny gwarant demokracji – parasol ochrony nad państwem prawa, który ograniczy zapędy nieodpowiedzialnych polityków. Dziś wiele osób to sobie przypomina. Gdy tak trudno obronić demokrację przed pisowskim walcem, to jego działania mogą zostać ograniczone przez zobowiązania zapisane w traktacie akcesyjnym. Wiedzieliśmy, przystępując do Unii, że jest ona wspólnotą wartości, i do takiej Unii wchodziliśmy.

Groźba poexitu wisi jednak nad nami. Zmiana konstytucji, jeśli do niej dojdzie, może być okazją dla eurosceptycznego rządu do wpisania kilku zdań otwierających furtkę do wyjścia Polski z Unii. Ciekawe też, jak argumenty obozu władzy wpłyną na poglądy Polaków. Stosunek rządu do integracji europejskiej jest bowiem znany badanym – istotna grupa sądzi, że rządzący chcą bądź wyjścia Polski z Unii (17 proc.), bądź ograniczenia integracji (32 proc., CBOS). Takie postrzeganie intencji rządzących, pomimo oficjalnych zapewnień, że nie będzie poexitu, niepokoi wiele osób, również niektórych członków PiS.

Eurosceptyków nie ma w Polsce tak wielu. Do przeciwników Unii można zaliczyć około jednej czwartej Polaków. Nie jest to jednak dużo więcej niż w wielu krajach Unii, gdzie sceptycyzm jest też silnie obecny i ma takich swoich reprezentantów politycznych, jak Le Pen we Francji czy Wilders w Holandii. Autorzy niedawnego raportu dla Fundacji Batorego piszą o „płytkim poparciu” dla integracji. I wskazują na obecność w naszym społeczeństwie obaw przed obcymi. Również badania Jakuba Bierzyńskiego publikowane na łamach POLITYKI (27) pokazują, jak ważna jest kwestia uchodźców i jaki może mieć negatywny wpływ na stosunek Polaków do Unii.

Czy polska grupa eurosceptyków znacząco wzrośnie w wyniku konfliktu z Brukselą o państwo prawa? W konflikcie tym PiS będzie straszył uchodźcami i budował dystans do instytucji unijnych. Obóz Kaczyńskiego wie, że uchodźcy budzą lęk w naszym jednorodnym społeczeństwie, więc będzie podsycił ten strach, a w konsekwencji – niechęć do Komisji.

Głosowaliśmy za wejściem do Unii, ponieważ chcieliśmy stanąć częścią Zachodu, wejść na stałe do tej wspólnoty cywilizacyjno-kulturowej. Unia oznaczała dla nas pokój i bezpieczeństwo kraju. Dziś podkreślamy swobodę podróżowania i pracy oraz takie wartości, jak prawa człowieka i demokrację (Eurobarometr, 2017 r.). Nie są to wartości, z których łatwo zrezygnujemy, zwłaszcza młodzi. Niedługo rozpocznie się prawdziwa batalia o miejsce Polski w Unii. Będzie to wielkie wyzwanie dla nas wszystkich.



Przedstawiamy
nowy Surface Pro.

Jeszcze bardziej wszechstronny



Dostępny w sieci sklepów:



Dystrybucja: Also Polska

KOMENTARZ

Unia nie więzienie



Łukasz Wójcik

W poniedziałek w Brukseli komisarzom spadł kamień z serca. Z ich perspektywy problem zniknął – dwa weta prezydenta Andrzeja Dudy wytrącają Komisji Europejskiej najmocniejsze argumenty w sporze o praworządność z polskim rządem. Trudno sobie wyobrazić, że Komisja rozpocznie teraz procedurę naruszenia unijnego prawa. Niezawetowana ustawa o sądach powszechnych, choć może być równie szkodliwa, zapewne umknie uwadze Komisji, która zrobi wszystko, aby problem rozwiązali sami Polacy.

Unia to nie zakład karny. Nikt z jej twórców nie zakładał, że któryś z *dobrowolnych* członków będzie z premedytacją działał przeciwko jej fundamentalnym zasadom. Wypowiedzenie przez Brukselę totalnej wojny któremuś z państw członkowskich – a tym byłoby nie tylko uruchomienie art. 7 traktatu o UE (sankcje, odebranie głosu w Radzie), ale również skarga do Trybunału Sprawiedliwości o naruszenie unijnego prawa (kary finansowe) – miałoby sens tylko wtedy, gdyby celem Komisji było wypchnięcie tego państwa z Unii. Kara nie tylko nakreśliłaby antyunijne nastroje w skarżonym kraju, ale również wzmocniła przeciwników Unii w innych państwach członkowskich. Taki ruch, jakkolwiek uzasadniony prawnie, byłby więc na dłuższą metę politycznym samobójstwem Unii.

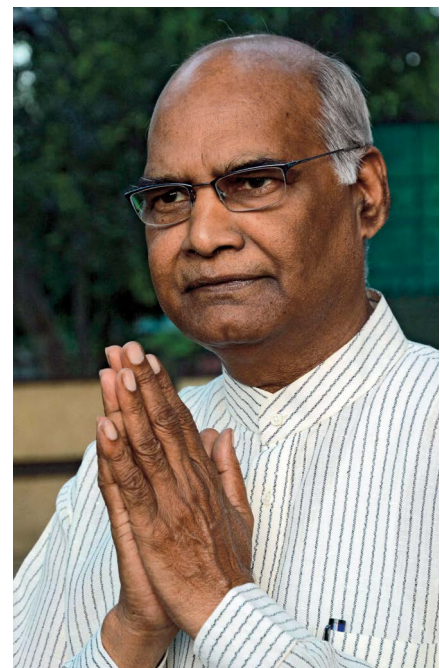
Albo Komisja nie ma dobrego wyjścia. Niezawetowana ustawa o sądach powszechnych to problem całej Unii, bo wydawane przez nich wyroki mają wymiar europejski. Przede wszystkim jednak lekceważenie łamania fundamentalnych praw Unii sieje zgorszenie we wspólnocie, prowokując mniej odważnych do grzechu. Gdy zaraz po wprowadzeniu euro Niemcy i Francja złamały tzw. Pakt Stabilności i Rozwoju, Komisja milczała i w ciągu następnej dekady większość państw strefy euro, na czele z Grecją i Włochami, systematycznie te zasady łamała, co skończyło się największym kryzysem gospodarczym w powojennej Europie.

Pochłonięta już brexitem Bruksela, mimo ostrych słów Timmermansa, zrobi wszystko, aby polski problem rozwiązano w Warszawie. Weta prezydenta Dudy to zatem również prezent dla Komisji Europejskiej.

Prezydent jak as z rękawa

Czternastym prezydentem Indii został 71-letni **Ram Nath Kovind**, prawnik z ubogiej kasty tkaczy, dawniej związany z Sądem Najwyższym. To drugi w historii kraju prezydent wywodzący się spośród Dalitów – najniższej warstwy społecznej. Dyskryminowani w życiu codziennym i publicznym Dalitowie rzadko obejmują eksponowane stanowiska. Jako pierwszy najwyższy urząd w państwie objął w 1997 r. Kocheril Raman Narayan, który umocnił pozycję prezydenta (głównie ceremonialną), jednak nie zdołał poprawić sytuacji Dalitów. Nadziei na polepszenie ich losu nie daje także Kovind. Jego prezydentura zapowiada się jako uległa wobec konserwatywno-nacjonalistycznego kursu wyznaczonego przez premiera Narendrę Modiego. Kandydatura Kovinda była zaskoczeniem dla wszystkich, nawet dla członków rządzącej Indyjskiej Partii Ludowej (BJP). Nowy prezydent to polityk w Indiach zupełnie niezany.

Cichego, unikającego mediów prawnika bez politycznej biografii wytypował sam Modi. Ten ruch ma przyciągnąć elektorat wywodzący się z najuboższych grup i przelać wizerunek BJP jako partii zamożnych braminów. Od przejścia władzy przez Modiego w 2014 r. rośnie liczba ataków na Dalitów, zajmujących się m.in. hodowlą krów, które tradycjoniści hinduscy uznają za święte. Premier konsoliduje władzę i elektorat przed wyborami parlamentarnymi w 2019 r. Dobrze mu idzie. Według raportu OECD popiera go 72 proc. Indusów. Wytypowanie Kovinda pokrzyżowało szyki opozycji. W głosowaniu członków parlamentu i zgromadzeń stanowych przedstawicieli różnych ugrupowań dali mu silne zwycięstwo – otrzymał ponad 65 proc. głosów. Jego kontrkandydatka – wystawiona przez sojusz opozycyjny Meira Kumar, także Dalitka, zyskała jedynie 34 proc. głosów.



© PAP

ją za święte. Premier konsoliduje władzę i elektorat przed wyborami parlamentarnymi w 2019 r. Dobrze mu idzie. Według raportu OECD popiera go 72 proc. Indusów. Wytypowanie Kovinda pokrzyżowało szyki opozycji. W głosowaniu członków parlamentu i zgromadzeń stanowych przedstawicieli różnych ugrupowań dali mu silne zwycięstwo – otrzymał ponad 65 proc. głosów. Jego kontrkandydatka – wystawiona przez sojusz opozycyjny Meira Kumar, także Dalitka, zyskała jedynie 34 proc. głosów.

Krezusi z BBC

BBC zdecydowało się podać dochody zatrudnionych gwiazd, ujawniając przy tym dyskryminację płacową kobiet.

Po raz pierwszy w historii BBC ujawniło listę płac swoich gwiazd. Radio i TV BBC jest korporacją publiczną, finansowaną z abonamentu i działającą na mocy statutu królewskiego (*Royal Charter*), odnawialnego co 10 lat. W ramach postanowień statutu korporacja powinna dążyć do jak największej przejrzystości finansowej. To nastręcza jej kłopotów na obecnym rynku medialnym. Choć BBC utrzymuje pozycję największego nadawcy publicznego na świecie, ma groźnych komercyjnie konkurentów. Ci starają się podebrać BBC czołowych prezenterów i dziennikarzy, oferując wynagrodzenia kilka razy wyższe. Dlatego BBC weszła w wieloletni spór prawny w kwestii ujawnienia pensji czołowych pracowników. Ostatecznie jednak ogłosiła w lipcu listę gwiazd wraz z wynagrodzeniami (ale tylko za pracę świadczoną BBC) przekraczającymi 150 tys. funtów rocznie. Pierwsza siódemka to mężczyźni. Najlepiej zarabiającym prezenterem okazał się Chris Evans (2,2 mln), były gospodarz programu motoryzacyjnego „Top Gear”. Lista krezusów dowodzi, że czołowi prezenterzy zarabiają przeciętnie pięć razy lepiej od prezenterek. Wśród 96 osób na liście jedna trzecia to kobiety. Sam szef BBC, lord Hall, przyznał, że ma problem z nierównym statusem zawodowym kobiet, ale bronił się, że korporacja chce go rozwiązać w ciągu trzech lat. Hall był przeciwny publikacji list płac w obawie, że ułatwi ona zadanie łowcom głów. To jednak nie jest oczywiste, bo niejedna z gwiazd BBC nie daje się skusić innym nadawcom po prostu z miłości do prestiżowej korporacji publicznej.

Codzienna porcja ciekawych informacji ze świata w aplikacji **Fiszki Polityki**.



Małorosja zamiast Ukrainy

Zeby zakończyć wojnę na wschodzie Ukrainy, prorosyjscy separatyści z Doniecka wymyślili, że proklamują nowe państwo o nazwie Małorosja. Miałoby ono zastąpić Ukrainę, która „jest już nie do naprawienia”, a nazwa „Ukraina” jest zdyskredytowana, ponieważ, jak twierdzą, „państwo nie potrafi poradzić sobie z obecną sytuacją”. Pochodząca z XIV w. nazwa Małorosja (Mała Ruś) była oficjalnie używana dla nazwania południowo-zachodniej Rusi, czyli ziem dzisiejszej Ukrainy. Wykorzystywana chętnie przez rosyjskich nacjonalistów i monarchistów przestała być oficjalnie używana po upadku caratu. Teraz zostaje odrzucona, a plan reintegracji obejmuje całe terytorium, łącząc 19 pozostałych regionów, oprócz Krymu, w federacyjne państwo ze stolicą w Doniecku. Kijów miałby być jedynie historycznym i kulturalnym centrum. A niebiesko-żółta flaga miałaby zastąpić flaga Bohdana Chmielnickiego. Dla zbudowania takiego państwa, jak przewiduje lider separatystów **Aleksandr Zacharczenko**, potrzebne byłyby trzy lata stanu wyjątkowego.

Już na wstępie Małorosja ma jednak kłopoty. Zdziwiła szefa Ługańskiej Republiki, bo pomysł nowego państwa nie był z nim konsultowany, wobec czego Ługańsk nie zamierza uczestniczyć



w przedsięwzięciu. Kreml zaś twierdzi, że o inicjatywie dowiedział się z mediów i nazwał ją osobistą rozgrywką Zacharczenki, podczas gdy Rosja podtrzymuje swe zaangażowanie na rzecz porozumień mińskich. Rzecznik Kremla dodał jednak, że temat „podlega refleksji i analizie”, co nie wyklucza, że Rosja będzie projekt Małorosji rozgrywać w relacjach z Ukrainą. A prezydent Petro Poroszenko uznał, że po fiasku idei Noworosji Małorosja to kolejny komunikat z Moskwy przeciwko Ukrainie i próba przyłączenia jej do Rosji, zapowiada więc powrót władzy Kijowa w Donbasie i na Krymie.



Święta środa

Francja także boryka się z reformą szkolną.

We Francji nowa ekipa odkręca reformę oświaty wprowadzoną przez poprzedników. Taka zresztą była jedna z obietnic wyborczych zwycięskiego Emmanuela Macrona. A chodzi o zmianę niebanalną, sięgającą 1882 r. To wtedy we francuskich podstawówkach wprowadzono w środku tygodnia dzień wolny od nauki. Wtedy był to czwartek, od 1972 r. – środa. Ale jak wszyscy, szkoły pracowały w sobotę. W 2008 r. szkoła, uzyskawszy wolną sobotę, przeszła na czterodniowy

tydzień edukacji podstawowej. Szeroko dyskutowana reforma, wsparta opiniami ekspertów, wprowadziła czteropółdniowy tydzień szkolny: doszły przedpołudniowe zajęcia w środę lub sobotę. Głównie chodziło o to, żeby rozwinąć nieco tryb nauczania: cztery długie dni intensywnej nauki (we Francji od 8.30 do 16.00 z przerwą obiadową od 11.30 do 13.00) bardzo wyczerpują uczniów – argumentowano. Ale przeciwników zmian było niemało, zwłaszcza wśród rodziców. Ta wolna szkolna środa stała się

tu bowiem prawdziwą instytucją, wykorzystywana była na zorganizowane zajęcia sportowe i pozalekcyjne, **wizyty w muzeach**, aktywny wypoczynek.

Teraz minister edukacji narodowej Jean-Michel Blanquer ogłosił, że władze lokalne, w konsultacji ze szkołami i rodzicami, od września będą miały prawo wyboru: utrzymanie dzisiejszego rytmu szkolnego albo powrót do starego, czterodniowego. Z nowych ekspertyz wynikało bowiem, że reforma w istocie nie poprawiła wyników uczniów (ale też nie pogorszyła), a z kolei, w opinii rodziców, wielu uczniów skarży się na przemęczenie pięciodniową szkołą. Na razie do wolnej środy wraca jedna trzecia podstawówek, zwłaszcza z mniejszych miejscowości, gdzie szybciej można wprowadzić korekty dotyczące choćby zatrudnienia nauczycieli. Wielkie miasta, poza Niceą, są na razie odporne, ale wiele zapowiada zmiany od przyszłego września. Nie trzeba dodawać, że taka elastyczna propozycja nie wywołała buntu środowiska ani protestów rodziców. Może sprawdziłaby się w przypadku naszych sześciolatków. Zwykle „co Francuz wymyślił, Polak pokochał”, ale za tej ekipy to raczej niemożliwe.

REKLAMA

www.prezeswsanatorium.pl

Wstrząsy w imperium

Partia Kaczyńskiego poczuła się wszechmocna, pozbyła się ostatnich hamulców i weszła w okres cezaryzmu. Zapowiedź podwójnego weta prezydenckiego to sygnał, że imperium PiS zaczyna się chwiać.



ILUSTRACJA IGOR MORSKI

MARIUSZ JANICKI, WIESŁAW WŁADYKA

W

ładzy wydawało się, że kolejne pomysły rozmontowujące demokratyczny system będą przyjęte bez szmerania, bo przecież partia-matka ma „mładzącą przewagę”, a społeczeństwo jest zajęte konsumpcją przyznanego socjału. Ale nagle najwyraźniej doszło do jakiejś kumulacji, przy kwestii ustaw sądowych wyszły inne rzeczy: to, że Trybunał Konstytucyjny jest fikcją i nigdy nie sprzeciwi się rządzącym, że państwowa telewizja jest bezwstydnie dyspozycyjna, że za chwilę PiS zagrozi PKW, organizacjom pozarządowym, prywatnym mediom. Może

zwłaszcza młodzi Polacy dostrzegli w końcu wyraźnie to, co PiS zrobił z wcześniej przejętymi przez siebie instytucjami, i zadali sobie pytanie – dlaczego z sądami miałyby być inaczej?

Prezydent Duda w uzasadnieniu swojej decyzji o wetach dał wyraźnie do zrozumienia, że społeczny sprzeciw wobec „reform” PiS był dla niego ważnym motywem, choć nie odmówił sobie przy okazji ataku na rzekomą agresję opozycji. Bardzo prawdopodobne, że swoje znaczenie miały sygnały z zagranicy, rozmowy z politykami europejskimi, przestrogi Komisji Europejskiej. Także Departament Stanu USA wyraził zaniepokojenie i informował, że toczy intensywne rozmowy

z polskimi władzami. Nie można zatem całkowicie wykluczyć może nie wprost planowanej ustawki w ramach obozu PiS, ale jakiegoś ad hoc cichego porozumienia, o którym nikt nie ma się dowiedzieć, a wszyscy odegrają swoje role zdziwienia, oburzenia i deklaracji dalszej współpracy.

Jarosław Kaczyński też mógł zdać sobie sprawę, że poszedł na czołowe zderzenie ze wszystkimi graczami poza twierdzą PiS, że demonstracje są większe, niż się spodziewał, i zeszły do małych miast, powiatów, także na wschodzie i południu kraju, czyli tam, gdzie liczył na swoje niekwestionowane panowanie. A to, że może się w jednej chwili wycofać z forsowanego wcześniej z całym przekonaniem projektu, pokazuje niedawny przypadek podatku paliwowego. W tej sytuacji Duda i Kaczyński uratowaliby siebie nawzajem: Duda zdjął z prezesa PiS kłopot i wziął na siebie odium tego, który przeszkadza w „naprawianiu Polski”, a Kaczyński, pozwalając na weto, dał szansę prezydentowi na zachowanie twarzy i ucieczkę od wizerunku politycznego notariusza.

Ale też decyzja o wetach może być samodzielnym przemyśleniem prezydenta, który dostrzegł, że PiS przesadza, gra za ostro, że za bardzo skłócił Polaków i wywołał emocje prowadzące być może do konfrontacji fizycznej. W ciągu dwóch lat władzy Kaczyńskiego polityczny podział kraju bardzo się pogłębił; jest zupełnie inna atmosfera niż w czasie, kiedy Duda wygrywał wybory prezydenckie. Kiedy powróciła i jeszcze pogłębiła się dwubiegowość sceny politycznej, jego szanse na drugą kadencję spadają. Na prawicy coraz częściej pojawiają się opinie, że trzeba przyjąć łagodniejszy kurs, skrócić front walki, przyhamować z agresywną, brutalną retoryką. Mówi się, że Duda chciałby poszerzyć bazę wyborczą na większe obszary prawicy, wyrwać się z zamkniętego pisowskiego kręgu. Zwłaszcza że sam konsekwentnie buduje osobistą popularność w Polsce terenowej, gdzie jest lubiany. Może być i tak, że za trzy lata to PiS nie będzie miał wyboru i będzie musiał poprzeć Dudę na drugą kadencję, a dojdzie prezydentowi część centrowego elektoratu. Wszak większość w niedawnym sondażu oczekiwała weta.

Pojawiły się też – wyraźnie niepokojąc twarde jądro władzy – spekulacje, że na scenie politycznej jest miejsce na PiS-light, konserwatywną partię, mającą wiele cech PiS, ale bardziej szanującą zasady, procedury i instytucje demokratycznego państwa prawa. Że coś takiego mogłoby kiedyś powstać w trójce Duda-Kukiz-Gowin, może Morawiecki. Dla imperium Kaczyńskiego, od lat walczącego o absolutny monopol na prawicy, nawet cień takiego pomysłu jawi się jako koszmar. Być może to zapowiedź pęknięcia pisowskiej formacji, może nawet początek prawdziwej walki o schedę po Kaczyńskim, nie tyle nawet w samej partii, ale w całym prawicowym obozie.

Kod klęski

Zwłaszcza że widać, iż imperium PiS dostało zadyszki, zapęliło się, uwierzyło w swoją omnipotencję. Bezradność propagandowa władzy wobec wielotysięcznych protestów w sprawie sądów – objawiająca się żalonymi epitetami („komuniści, esbecy, zdrajcy”, „wdowy ubeckie”, „stare upiory bolszewickie”) – jest typową reakcją zaskoczonego imperium. Potem uruchomiono kuriozalne teorie, zaczerpnięte wyraźnie z orbánowskich Węgier, że protestujący są finansowani z zagranicy, trwa wojna hybrydowa i cyberataki z Rosji i Niemiec, że za wszystkim stoją antyrządowe firmy PR i astroturfing, a młodzi dali się zmanipulować. Najprostsze wytłumaczenie, że ludzie doszli do swojego gniewu samodzielnego, nie wchodziło politycznie w grę.

Władza staje się coraz bardziej agresywna i bezceremonialna. Była wyraźnie zdziwiona skalą oporu. PiS wygląda tak, jakby sam uwierzył we własną propagandę. Właśnie w takim stadium zaczyna się popełniać istotne błędy. Zawartość i sposób przepro-

wadzania przez Sejm ustaw „naprawiających” sądy, niespotykana wcześniej nawet u polityków PiS buta i bezczelność pokazują, że partia ta rozpoczęła imperialny okres swoich rządów. Rozpadają się ostatnie zasady przyzwoitości, przestają mieć znaczenie jakiegokolwiek racje, argumenty i styl; nastął czas polityki siłowej. W czasach „cezaryzmu” można już zrobić i powiedzieć wszystko; wiara w nieomylną wodza sięga zenitu.

Sam Kaczyński w swoim wystąpieniu o „zdradzieckich mordach” i „kanaliach”, obrażając posłankę Nowoczesnej, a wcześniej odwracając się plecami do prezes Sądu Najwyższego, pokazał, że nie ma już żadnych skrupułów, niczego nie udaje. Że czuje się zwycięzcą, który mógłby wreszcie przejść do zemsty na swoich wrogach – gdyby tylko zechciał. W fazie imperialnej, bo tym się ona również charakteryzuje, jeśli nawet wrogowie władzy nadal funkcjonują, to wyłącznie dzięki łasce cesarza.

Władca osiągnął w oczach swoich podwładnych status bez mała bóstwa, każdy jego gest, mina, słowo, przyjmowane są z uwielbieniem, co daje efekty komiczne, a zarazem żenujące. Ale dla mieszkańców cesarstwa PiS zewnętrzne oceny nie mają znaczenia, oni zdają się żyć w jakimś transie, euforii, w osobnej niszy, gdzie obowiązują nieznanne innym reguły i hierarchie wartości. Liczy się opinia tylko jednego człowieka, jakby poza PiS nie było już życia, partia będzie rządziła wiecznie, a piekło zostało odwołane.

Ale ten „imperializm” ma wpisany w siebie kod nieuchronnej klęski. Jeśli jest kult jednostki, to potem musi być „destalinizacja”, jeżeli ktoś bezgranicznie uwierzył w wodza, to później sam poniesie konsekwencje upadku idola, pójdzie z nim na dno.

Rządy PiS okazują już teraz wiele cech kulminacji, specyficznego zatracenia się jego polityków, zerwania więzów ze znanym światem. Stały się rozwinęta, wszechogarniająca, ale też degenerującą się satrapią, która dostała władzę w wolnych wyborach, ale po wygraniu partii szachów wyrzuciła szachownicę.

Jednak Kaczyński czy to głoszący od lat na miesięcznicach, że „prawda jest blisko”, czy w Sejmie, broniony przez swoich karnych przybocznych – jest wystawiony na nieubłaganą erozję wizerunku, słabnięcie groźnego wdzięku, na nieuchronną powtarzalność swoich banałów i prawd objawionych. Jeśli wydawało mu się, że nie wchodzić w państwowe funkcje, nie będzie się zużywał, to się pomylił. Spala się szybciej niż prezydent Duda i premier Szydło. Ślady walki widać głównie na nim, a nie na tych, których wystawił w roli zderzaków.

Ale imperialna hipnoza trwa i nikt w PiS nie ma śmiałości, aby ją przerwać. Odbudowanie przewagi w sondażach nad opozycją, triumfalny kongres w Przysusze, propisowska wizyta prezydenta Trumpa, dobra koniunktura gospodarcza wprowadziły polityków PiS w stan niezmałonej pewności siebie. Mentalnie PiS poczuł się już absolutnym zwycięzcą. Imperialna faza polega właśnie na przekonaniu o ostatecznym pokonaniu swoich przeciwników. W demokracji nigdy nie jest to prawda, ale takie poczucie jest zawsze silniejsze od racjonalnego oglądu.

Potencjalna dyktatura

Za tym, że PiS wszedł jednak w cykl dla siebie niekorzystny, przemawiają właśnie cechy imperialności. Polega ona przede wszystkim na pozakonstytucyjnej zmianie ustroju państwa, na wprowadzeniu potencjalnej dyktatury. Oznacza ona zgromadzenie w jednym ręku wszystkich instrumentów władzy umożliwiających w każdej chwili dyktatorskie rządy, a decyzja, czy je uruchomić, należy tylko do przywódcy. Może nie stać się nic, ale może wszystko. Nie jest to już demokracja, która polega na tym, że przed dyktaturą chroni nie wola władcy, ale procedury i bezpieczniki ustrojowe. To, że Kaczyński przejmuje teraz trzecią władzę, a na jesień przewiduje pacyfikację ►